



GLÓŚ LITERACKI



Rok I.

WARSZAWA, 1—15 lutego 1928 r.

Nr. 3.

Dr. KAZIMIERZ KOSIŃSKI.

O twórcy „Na Przełęcz” Witkiewicz a ruch niepodległościowy w Galicji 1912 r.

W najbliższym czasie ukaże się obszerna, wyczerpująca monografia o Stanisławie Witkiewiczu, pióra dr. Kazimierza Kosińskiego, z której, za pozwoleniem autora, wyjmujemy niniejszy fragment.

Zagadnienia polityczne od r. 1905 stale absorbowały Witkiewicza. Myśl jego krążyła koło Rosji, w której przełom wewnętrzny mimo załamania się ruchu rewolucyjnego po r. 1905, dokonywał się dalej w podziemiach spisku. Witkiewicz też nie przestał wierzyć w rewolucję. Nabrała dlań właściwego znaczenia zarówno fakty, jak i osoby, z walką bezpośrednio związane. I tak np. są to czasy, te lata po r. 1905, zadzierzgnięcia osobistej przyjaźni Witkiewicza z Józefem Piłsudskim, który opromieniał się blaskiem bohatera narodowego w walce rewolucyjnej z przemocą o wolność i niepodległość Polski. Nie przeczył też nigdy faktów, które o ciągłości ruchu świadczyły niechybnie. I tak, po zabiciu Stołypina w Kijowie, Witkiewicz pisze w liście do siostry z d. 18 września 1911 roku, że przejęty jest tym wydarzeniem „ponad wszystko”, że pochłonięty jest „tą sprawą”, „i tem przeciwcieniem stołypinowskiego okazu w sposób, którego, się pragnęło, który dowodzi matematycznie, że samoderżawie przepadło — diabli wzięli”. W kilkanaście dni później, w liście z 30 września tegoż roku, stwierdza, że „myśl przykuta jest do wypadków rosyjskich i stara się poznać skutki czynu Bogrowa”, skarży się jednocześnie na prasę galicyjską, redagowaną przez idiotów, jak się wyraża, którzy nie odczuwają żadnej łączności między zaborem rosyjskim a austriackim. Wzmianki powyższe świadczą, jak Witkiewicz przywiązywał wagę do wypadków rewolucyjnych w Rosji po roku 1905.

Przytem rzecz charakterystyczna: Witkiewicz tak dalece wierzył w rewolucję, że nie doceniał wtedy znaczenia wojny i nie wierzył w możliwość odzyskania niepodległości Polski na tej drodze; w wojnie widział tylko zmaganie się egoizmów państwowych. Kiedy więc w r. 1912 przyszła Wojna bałkańska, Witkiewicz nie entuzjazmował się dla niej, a co najbardziej znamienne, był przeciwny wiązaniu z nią nadziei polskich, choć nie ulega wątpliwości, że dwa fakty, t. j. aneksja Bośni i Hercegowiny przez Austrię w r. 1908 i Wojna bałkańska wzmogły i postawiły na nogi w Galicji ruch niepodległościowy polski, o czym Witkiewicz najwidoczniej wtedy nie wiedział i zajmował stanowisko wręcz odmienne od tego, jakie zajmie po wybuchu Wielkiej wojny.

Teraz w roku 1912, w dobie bezpośredniego Wielką wojnę poprzedzającej, pisał w liście do siostry 24 października, że wojna bałkańska ogranicza się tylko do „miejscowego bałkańskiego zamętu”, rzezi, nieszczęść i potargania portek biednego Turka”, że „nawet, gdyby wmiszwały się wielkie szajki złodziei, t. j. mocarstwa, nicby się dla ludzkości nie stało” i dodawał, że „tylko ludy, nie rządy, prowadzą niekiedy wojny, które przynoszą wielkie i pożyteczne zmiany w ludzkości”. Jego zdaniem, państwa bałkańskie „mogą co najwyżej pozabierać skrawki ziem, należących do Turcji, i na tem koniec”. Dziwnem jest tylko, że uwagi powyższe kojarzą mu się z postacią Józefa Piłsudskiego, pisze bowiem zaraz po tem: „Szkoda, że nie znasz Józefa Piłsudskiego. Zadziwiający człowiek, a tak sympatyczny osobiście i taki bliski z obyczaju, że zdaje się, że się z nim zna od Poznańszczyzny. Żałuję, że nie mogę go tu napoić herbata, którą pijał u nas z takim smakiem”.

Robi więc wrażenie, że stał Witkiewicz wtedy na stanowisku wspólnym politycznie z Piłsudskim. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że sympatja Witkiewicza była tu po stronie Turcji, a nie ludów bałkańskich, prawdopodobnie przez to, że za tamtemi wyczuwał ukrytą Rosję, tę właśnie carską Rosję, która po klęsce japońskiej zwróciła się w kierunku mniejszego wysiłku a łatwiejszej rekompensaty na Bałkanach, co stawiało ją w zasadniczo sprzecznych interesach w stosunku do

Austrii. Wyczuwał to, jak wiemy, Józef Piłsudski, który wiedział, teraz już, o konieczności przyjęcia wojny rosyjsko-austriackiej i rozpoczął przygotowania do niej irredenty polskiej. Dlatego i Witkiewiczowi, być może, uwagi odnośnie na temat Wojny bałkańskiej zespoliły się bezpośrednio z jego osobą.

Dalej, w liście do siostry z 4 grudnia 1912 r. pisał Witkiewicz jakby z ulgą: „No, więc wojny nie będzie. I dobrze. Ta wojna byłaby potworna, a że nie tkwiłaby w niej żadna idea przyszłości, więcby to była tylko rywalizacja egoizmów państwowych, za którą zapłaciłyby społeczeństwa. Naszym sprzymierzeńcem jest rewolucja w Rosji, jest przeobrażenie się wewnętrzne Niemiec — rozwój socjalizmu. Tylko na ruinach dzisiejszych ustrojów państwowych możemy zdobyć niepodległość. Jeżeli jej wogóle będziemy potrzebowali. Bo jeżeli wszyscy sparszyjemy, jak Poznańczycy, to ten świat będzie nam niepotrzebny. Wystarczy kasy oszczędności i spółki rolnicze”.

A teraz pytanie, czy istotnie Wojna bałkańska ożywiła nadzieje polskie, czy dała impet ogólny do zbrojenia się duszy polskiej do walki? Nie. Ożywiła się wprawdzie irredenta, ale ta była na zbyt słaba na tle całokształtu życia polskiego we wszystkich zaborach tego czasu. Jedynie tylko w Galicji ruch ten się zaznaczał, mimo, że nominalnie przyłączyły się doń i stronnictwa niepodległościowe z Królestwa.

Zajmijmy się w paru słowach tym ruchem:

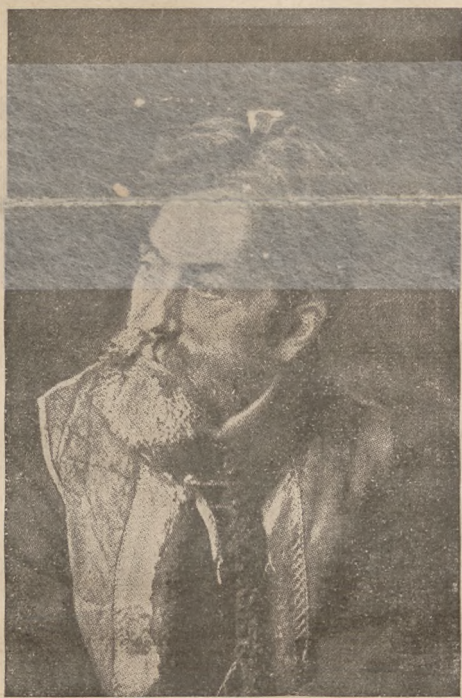
Pod wpływem wypadków, w grudniu 1912 roku, powstała w Krakowie Komisja Tymczasowa Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych, do której weszły Polska Partja Socjalistyczna, Narodowy Związek Robotniczy, Organizacja niepodległościowa ludowa, Organizacja niepodległościowa inteligencji — z Królestwa, oraz Polska Partja Socjalno-demokratyczna, Polskie Stronnictwo postępowe i Polskie Stronnictwo ludowe — z Galicji, poczem Komisja powyższa w grudniu 1912 r. wydała odezwę, jakby wezwanie, do społeczeństwa polskiego.

W odezwie tej Komisja Tymczasowa uderzała odrazu w ton zgola fałszywy: twierdziła, że nastąpiło w Polsce ogólne wzburzenie do głębi „wszystkich instynktów i uczuć”, a potem wskazywała na nędzę polską „na brak pracy w przemyśle, na drożyznę i zastój kredytu, co rujnowało dziesiątki tysięcy egzystencji polskich, zanim padły pierwsze strzały wojenne. Z chwilą wybuchu ewentualnej wojny rosyjsko-austriacko-niemieckiej, twierdziła odezwą — „czeka nasz naród los najtragiczniejszy”, — a mianowicie „pchanie Polaków armii rosyjskiej przeciw Polakom w armjach austriackiej i niemieckiej do mordu wzajemnego. „Wskazywała Komisja tymczasowa dalej na rozbicie wewnętrzne trójspółczeństw polskich, które stały się dla siebie obce, nadto ubogie i słabe. Wyprowadzała też wniosek jednostronny, że „zniesienie despotyzmu rosyjskiego na polskiej ziemi” jest jedyną możliwością stworzenia „w przyszłości wielkiego warsztatu narodowej pracy”, czyli zaznaczała z góry stanowisko swoje sprzymierzeńcze względem Austrii. Mimowoli też nabierało cech frazesu oświadczenie końcowe Komisji, że nie spuści oka „z naszego własnego stanowiska

i w pierwszym rzędzie naszych własnych praw, praw ludu polskiego bronić będziemy”.

A więc, co trzeba tu z całym naciskiem podkreślić, to stanowisko walki, z góry jasne i zdecydowane i stosunek do Austrii, przyjaźny i sprzymierzeńczy; robiło to wrażenie, jakby cały ruch na wypadek wojny z Rosją zawczasu był przez Austrię tolerowany.

Te same Skonfederowane Stronnictwa Niepodległościowe podczas konferencji ambasadorów w Londynie w czasie wojny bałkańskiej wystosowały dla niej Memorjał, mdły i bezbarwny, w kwestji polskiej. Memorjał odznacza się niedwuznaczną jednostronnością w omawianiu spraw polskich na gruncie jednego tylko zaboru rosyjskiego, z pominięciem Austrii,



STANISŁAW WITKIEWICZ

a zwłaszcza Prus, gdzie ucisk polski świecił bezprzykładne orgje. Memorjał mówił tylko o przesładowaniu Polaków w Rosji, — mówił rozlewle i nudno, po to, aby ostatecznie nieść na widoku tylko paljatywy i ograniczyć się do stanowiska autonomicznego w granicach Rosji... grożąc Radzie ambasadorów, że niezaspokojenie słusznych żądań polskich grozi katalizmami Rosji, a pośrednio Europie, do czego winny nie dopuścić mocarstwa. Mamy tu więc w rezultacie groźbę powstania polskiego, stojąc na stanowisku... autonomicznym, jakby nowej Konstytuancy warszawskiej.

Wróćmy do Witkiewicza, który, jak wiemy, nie chciał rozszerzania się wojny bałkańskiej do rozmiarów ogólnie-europejskiego konfliktu, co dziwi tembardziej, że nadzieje polskie już od Księg Pielgrzymstwa Mickiewicza wiązały się stale z pragnieniem Wojny europejskiej. W istocie szło tu o co innego, a mianowicie: Witkiewicz potępiał ruch niepodległościowy pod protektorem któregoś z zaborców, pozatem być może również, że mamy tu u niego moment trzeźwości politycznej, że się tak wyrażę. Itak np. w liście z 11 grudnia 1912 r. do siostry, pisze Witkiewicz, jak denerwujące są pogłoski na temat wojny europejskiej, poczem snuje uwagi na temat ewentualnego powstania polskiego przeciw Rosji: „jeżeli prawdą jest, że Moskale zgromadzili 500.000 wojska w Królestwie i wszystkich polskich (Polaków) żołnierzy wysłali w głąb Rosji — w takim razie ostateczną głupotą byłoby robić powstania — wogóle rozpoczynać walkę w jakiegokolwiek formie. Naszym sprzymierzeńcem istotnym, może mimowolnym, jest tylko rewolucja w Rosji”.

Co to znaczy? Czyby Witkiewicz przeczył samemu sobie dawnemu i przekreślał walkę z Rosją, stojąc na stanowisku beznadziei narodu, jak pozytywści albo racjonalistyczne późniejsze partje polityczne polskie? Ale to byłoby u Witkiewicza przekreśleniem samego siebie. Jakoż jedno tu można przypuścić, a mianowicie, że mamy tu do czynienia ze smutnym doświadczeniem po r. 1905. Stąd ten trzeźwy pogląd na rzeczy, tak dalece, że neguje Witkiewicz walkę z Rosją „w jakiegokolwiek formie”, wobec 500.000 wojska rosyjskiego w Polsce i wobec faktu, na który nigdy, ani przedtem ani potem, nie liczył, przeniesienia żołnierzy Polaków z armii rosyjskiej w głąb Rosji, czynnik, którego niepodobna było istotnie brać w rachubę.

To na terenie zaboru rosyjskiego, a teraz na gruncie Galicji. Wychodząc z ogólnego swojego

stanowiska, pisał Witkiewicz (w liście z 23 grudnia 1912 r.): „Wojny nie będzie — i dobrze...”, twierdzi też nadal, że „wojna, która nie wynika z rewolucji, z nowych i lepszych idei, idących do szturm, jest tylko rzezią”, pogląd, który już znamy. Ale oto, co sądzi teraz o udziale polskim w wojnie przy boku Austrii: „My bylibyśmy — pisze — w tem tylko pospolitem ruszeniu, któremby Austriacy grali — Jeszcze Polska nie zginęła. A potem, potem Prusacyby zrobili porządek...”

Niemna tu ani śladu entuzjazmu dla walki o niepodległość w podobnych warunkach. Witkiewicz zresztą nie negował nigdy walki z uciskiem, ale przenosił ją teraz na inną płaszczyznę, a mianowicie na płaszczyznę ruchu społecznego, rozwoju socjalizmu i rewolucji. Teraz doszedł był nawet do tego, że wspomniany ruch niepodległościowy Galicji, którego wyrazem była odezwą Komisji Tymczasowej, nazwie bez ogródek „c. k. powstaniem”, które, jak pisze w liście do siostry z 1 kwietnia 1913 roku „skończyło się, jak było do przewidzenia”. A mianowicie: „Już Austrii jest niepotrzebne i wobec całej polski może stać się szkodliwym, więc marsz do domu”. Teraz też wyraża swój pogląd na wspomnianą odezwę Komisji Tymczasowej: „Kiedym czytał wezwanie Komisji Tymczasowej, miałem wrażenie, że to pisały noworodki, nie ludzie, którzy przecie jakieś wnioski z życia mogliby już wyprowadzić. Ja nie jestem przeciw walce, walce ciągłej i nieprzejednanej, ale jestem przeciw głupstwu”.

W tym samym jednak liście, z 1 kwietnia 1913 roku, przemówił nasz istotny Witkiewicz, wyznawca idei mickiewiczowskiej o wartości dusz. Mówi tam mianowicie o Bułgarach w czasie Wojny bałkańskiej, o ich niepowstrzymanem męstwie i wyprowadza wniosek: „Jest to jeszcze jeden dowód, że rozstrzygającym bitwy pierwiastkiem jest człowiek i każda broń, dzisiejsza czy krzemienista siekiera, ma tyle wartości, ile jej nadaje ludzkie męstwo”.

A jednak, jeżeli idzie o ruch niepodległościowy w Galicji tego czasu, bezpośrednio przed Wojną europejską, Witkiewicz nie wiedział, że był to ruch ten sam, z którego wyjdą Legiony. Wtedy zaczął się ruch strzelecki, w którym skupiły się najlepsze elementy ówczesne, przedewszystkiem z Królestwa, a był to dalszy ciąg logiczny walki polskiej z roku 1905, której przewodził już wtedy Józef Piłsudski, człowiek, będący wcieleniem istotnym irredenty polskiej. Jakoż, zdaje się, nie robimy pomyłki, jeżeli postawimy tu hipotezę: Witkiewicz nie doceniał zrazu ruchu niepodległościowego, jako zbyt oddalony od kraju, dopiero, kiedy w styczniu 1914 roku odwiedził go w Lowranie, po raz ostatni w jego życiu, Piłsudski, który już stał na czele ruchu i przedstawił mu istotną jego wartość, istotne jego cele, a nade wszystko ruch ten najlepiej sobą samym zagwarantował i wtedy Witkiewicz odnalazł w nim siebie samego. Dotychczas przeważała w nim bolesna analiza i krytyka w stosunku do narodu, poczynawszy od upadku Powstania styczniowego, teraz przekonał się był Witkiewicz, że zjawilo się w Polsce pokolenie walki, którą reprezentował mu człowiek w walce tej niezachwiany, bohater bez kompromisów, którego odwaga i męstwo oraz bezwzględna polskość poczynają dawała mu gwarancję ruchu, w znaczeniu polskiem, niezależnem mimo pozorów oparcia się o innych. Wówczas to Witkiewicz uznał w Piłsudskim „pierwszego żołnierza polskiego”, stanął też do niego w stosunku irracjonalnym uczucia, spotęgowanego do miłości i uwielbienia. Witkiewicz przekonał się teraz, że wojna będzie i że Polska weźmie w niej udział, że ma już kadry i wodza, czyli wrócił Witkiewicz do stanowiska Księg Pielgrzymstwa i Narodu polskiego, w których Mickiewicz modlił się o wojnę powszechną ludów.

Wódz mówi o bitwie¹⁾.

Dzieło Marszałka Piłsudskiego, replikujące na majstersztyki fałszerskie jednego z wodzów strony przeciwnej — Tuchaczewskiego — o roku 20, jest interesującym nie tylko jako znakomita praca naukowo-wojskowa, lecz też jako dokument wielkiej wagi historycznej — i, że tak powiem, psychicznej, bo daje nie tylko prawdziwą odsłonę faktów i omówienie fachowe, ale doskonale też odzwierciedla ciekawe rysy *obyczajowości* polskiej na tle wypadków. Ta, tak rozlegle opracowana książka Wielkiego Wodza - Zwycięzcy jest nie tylko świadectwem, że „duch ludzki wszystko może”, ale i że *duch narodu wszystko może*. Bo trzeba sobie uświadomić ogrom czynu, ogrom jednego posunięcia — które w kilkanaście godzin było w stanie zwyciężonych przebarwiać na zwycięzców i odwrotnie. Czyż nie jest to geniusz Wodza, podparty duchem narodu, który wspólnie wiele mógł dokonać i rzeczywiście dokonał. Świetny cios ówczesnego Naczelnika Państwa, wymierzony w sam rdzeń wojsk sowieckich, wyrwywający czerwienione krwią hordy z marzeń górnych o zdobyciu Warszawy — pozostanie wieczyście na białych kartach dziejów. Zwycięstwo polskie pod Warszawą — to zwycięstwo dobra nad złem, zwycięstwo cywilizacji nad szajką oczadzonych doktryniarzy, zwycięstwo ostateczne krzywdzonej Polski nad dotąd krzywdzącą Rosją. Nikt chyba przeczyć nie będzie, że niema, przynajmniej w stosunku do sąsiadstwa, różnicy między państwem carów Romanowych, a carów czerwonych. Przypomnijmy sobie fakt z pracy Marszałka o wstępowaniu oficerów Denikinowców w łono armii czerwonej po wzięciu przez nas Kijowa... Komentowanie chyba zbyt ciche. I jeżeli chodzi o Moskała jako takiego, to nie robi różnicy wcale sylwetka jego przekonań politycznych.

Zwycięstwo warszawskie, które dopiero jest prawdziwym naszym wyznaniem wiary wolnego bytowania, cyrografem, tak zgruba podpisanym krwią polską na piaszczystych polach mazowieckich — może być porównywane ze słynnymi potrzebami: kirchholmską i kłuszyńską. Albowiem małym użyciem sił „rozpylano” nieprzyjaciela, że użyję słowa płodnego w podobne określenia autora „Pochodu za Wisłę”. Bitwa pod Warszawą też się odznacza tem, iż przy decydującym natarciu na wroga użyto znikomą ilość żołnierza: z całej masy wojsk polskich tylko jedną czwartą... Prawda, że przewodził tej czwartej części sam Wódz, ale cyfry cyframi. Wygranie kampanii w roku 1920 dało nam zaufanie obcych. Jakże nie wierzyć w tych, którzy tak bohatercko po termopile, lwio — bronili własnej, ledwo co odzyskanej Ojczyzny! Uznano nas za naród, który godny jest być równy tytanom boju z nad Marny, Verdun i Ypres. Można też między tem zwycięstwem przeprowadzić porównania z wieloma innymi bataliami, w których Polska odegrała rolę przedmurza kultury i cywilizacji. Wojska (jeżeli można tego względnego wyrazu tu użyć) Trockiego i towarzyszy niosły nam na ostrzach swych zbluzganych krwią bagników nie tylko „wolność”, ale i ideę, na pozór wydawałoby się, nową. Ideę krańcowo materialistycznego komunizmu. Dziwi się też p. Tuchaczewskiemu, czemu w jednym ze swych raportów wspomina o duszy? Idea ta, którą przez *kręć* chciano w nas wpajać, była wymierzona przeciw „białopolakom”, przeciw „burżuazyjno-szlacheckiemu rządowi Piłsudskiego”...

Autor „Roku 1920” taką daje na temat powyższy odpowiedź wodzowi so-

wieckiemu: „Więc jesteśmy u p. Tuchaczewskiego biało - polakami; może to u niektórych jego czytelników wywoła radosne bicie serca, ja na to określenie się nie gniewam. W herbie bowiem naszego państwa mamy orła nie innego, jak białego koloru i gdy jak każdy orzeł, mając dziób zakrzywiony i ostre szpony, rozwinał swe skrzydła w kampanii p. Tuchaczewskiego 1920 roku, przeciwstawić się potrafił dwugłowemu potworkowi, chociaż ten w czerwony wymalował się kolor. Zostaliśmy więc biało - polakami, gdy nasz orzeł jest biały, jedną naturalną ma głowę, a szpony dość ostre, by potworki zwyciężać i gniazda swe go bronić”²⁾. Tyle wielki Wódz. Należy zobrazować sobie ciętość tych paru słów, ujętych tak krótko z żołnierską a lapidarnie i z honorem.

Marszałek Piłsudski, jak sam orzeka, nie mógł, odpowiadając wodzowi sowieckiemu, omówić całokształtu działań frontowych. Primo, że książka Tuchaczewskiego narzucała mu już z góry, replikantowi, formę z budową i secundo, że Tuchaczewski nie był głównodowodzącym sił wojennych republik sowieckich, lecz komendantem jednego frontu.

Nasz Wielki Autor rozpoczyna swą pracę od omówienia t. zw. sowieckiej operacji majowej, poczem szczegółowo rozbiega przebieg działań wojennych kampanii lata 1920 r., dochodząc do słynnej bitwy warszawskiej o której mówi:

„W historii bitwy warszawskiej zastanowić musi każdego dziwna, nieoczekiwana i tak nagle zmiana ról obu stron walczących. Zwyciężony zostaje zwycięzca, zwycięzca zwyciężonym — w jakieś parę dni. Gdy zaś zestawia się niezwykłą jakąś sugestję klęski polskiej, która nieodparcie narzuca się umysłom i sercom ludzkim nie tylko u nas w Polsce, lecz i na całym świecie, gdy się zestawia niezaprzeczony fakt upadku moralnego młodego państwa polskiego, czego wyrazem była wysłana delegacja pokojowa do stóp p. Tuchaczewskiego, z nagłym przewrotem, który w jakiś błyskawiczny sposób nastąpił — szuka się bezwiednie jakichś nadzwyczajnych przyczyn tej nagłej zmiany, tego piorunującego przewrotu”⁴⁾.

Badając krwawą kampanię z roku 1920, dochodzimy za Andrzejem Strugiem do wniosku, że Polska musiała ostatecznie zwyciężyć. Potwierdza to też słowami Marszałek. Stwierdzają same fakty. Odwrót, który obfitował w takie przykłady, że: „Cała armia czyniła pośpieszny odwrót pod naciskiem jednej tylko naszej dywizji”⁵⁾ — był już przez Nemezis zgóry przeznaczony.

Po żołniersku, zwięźle napisana książka Pierwszego Marszałka Polski posiada też swój, tak właściwy Piłsudskiemu humor. „Pamiętam radosną chwilę, gdy na swoim biurku znalazłem depeszę dowódcy 12 sowieckiej armii, in claro przez radio w świat posłaną, a uwołającą: „Gdzie są moje dywizje?”. Odpowiedź dowódcy armii otrzymał od jednego tylko dywizjonera, który z jakiegoś lasku z zachowanej stacji radio depeszował: „Jestem tam a tam, lecz gdzie moje wojska, nie wiem”⁶⁾.

Talent wojenny Piłsudskiego odsłania się w jego książce w całej pełni, mimo skromnego przemilczania. Jest to znakomite wczucie się w *atmosferę psychiczną* stron walczących i dopiero wtedy budowanie planu bitwy. Książka Marszałka daje tego należyty a plastyczny obraz. Pomijając chociażby fakt samego zwycięstwa nad bolszewikami, pozwolę sobie przytoczyć kilkanaście słów autora, które wypowiada analizując taktyczne posunięcia p. M. Tuchaczewskiego: „Walczyłem metodą inną, którą — gdy nad nią się będzie, by w słowa ją ubrać — nazywam zawsze strategią pełnego powietrza — strategię de plein air — strategią, w której jest zawsze więcej powietrza, niż zaludnienia wojennego prze-

Doznania religijne w najnowszej literaturze polskiej.

W epoce, gdy całkowite zracjonalizowanie form życia i zmaterializowanie jego treści doprowadziło do zupełnego zaniku idealizmu i myśli religijnej, do zapoznania wskazań religijnych i wyrugowania ich z życia i motywów działań życiowych jednostek i tłumów, w epoce najzupełniejszego zobojętnienia religijnego, wyjałowienia i pustki zarówno uczuciowej jak i myślowej na tem polu, zagadnienie doznań religijnych w literaturze najnowszej należy do rzędu najciekawszych. Jest ono z samej istoty swej skomplikowane, wiąże w sobie splot sprzeczności. Z jednej strony literatura — funkcja życia społecznego, jego żywy odbłask, natrafia na grunt niemal w całości pozabawiony użyźniającej siły religijnego uczucia, z drugiej — stoi w obliczu starej prawdy, że szczyty swoje osiąga „stając się wyrazem doznań religijnych, to jest wtedy, gdy „kapłan i filozof jedną prawdę głoszą, a poeta ją opiewa”. To też zbadanie w jakiej mierze współczesna literatura, poezja epoki materializmu i praktycznego przedewszystkiem ateizmu, jest nurtowana przez myśl religijną, w jakim stopniu czerpie swe soki żywotne z uczucia religijnego, o ile jest odzwierciedleniem ewolucyjnego postępu prawdy religijnej i dążenia do niej — zbadanie tego jest otwartym polem. W odniesieniu do najnowszej literatury polskiej zadanie to podjął Leon Rygiel. W książce traktującej właśnie o tych zagadnieniach¹⁾, zebrał dużo materiału rzeczowego na obszarze tak prozy jak poezji najnowszej, starając się przeprowadzić tezę, że pomimo zwrotu do zagadnień rzeczywistości dnia dzisiejszego, pomimo krzyku o nawrocie do najbardziej realnego materializmu, pomimo usiłowań wystawienia hasel zaczerpniętych z bolszewickiego morza, najmłodsza poezja nie zatraciła w swych najwybitniejszych przejawach związku z nieprzerwaną linią literatury, w której żyło odwieczne przekonanie o wartości moralnej człowieka, jako o problemie losów narodów i ludzkości, i która żywiła się istotną, wynikającą z najgłębszej potrzeby wiarą religijną. Książka Rygiela dotykająca tak ważkich zagadnień zasługuje na bliższe omówienie i poznanie. W znacznej swej części stara się być ona odpowiedzią na tezy oraz oświecenie pewnych zagadnień przez krytyków obozu komunistycznego. Jak można sądzić, na genezę

1) Leon Rygiel — Doznania religijne w najnowszej literaturze polskiej. Warszawa, 1927. Polska Składnica Pomocy Szkolnej. (Odbitka z „Jednoty”). str. 59.

strzeni, strategią, gdzie wilki i cietrzewie, łosie i zające swobodnie ruszać się mogą, nie przeszkadzając dziełu wojny i dziełu zwycięstwa”⁷⁾. Dodajmy jeszcze do tego słowa o zatraceniu w wojnie ruchu i przez to degenerację wojny, poruszone przez Autora z okazji zbliżania się odwrótu polskiego do dawnych okopów niemieckich na wschodzie — będziemy mieli istotną sylwetkę Wodza - Zwycięzcy.

Sama książka, acz nie omawiająca działań wojennych z całego roku kalendarzowego 20, pisana przez wielkiego rzeczywiciście fachowca, i zwięźle — daje nam jasno zobrażowany całokształt działań wojennych, omawianych w tej książce. Tak indywidualny styl Wielkiego Wodza, w „Roku 1920” dochodzi w swej ekspresji do szczytu. Jest to stalowa mowa Człowieka, który wirtuozem będąc, gra symfonję zwycięstwa — i porywa wszystkich.

Jest też On świetnym polemistą, zdzierając ze źrenic wodza sowieckiego bielmo conajmniej niewłaściwego w tem miejscu doktrynerstwa. Łączy się w tem działaniu Tuchaczewski z wiecznie żywym Samuelem Zborowskim warcholstwa narodu polskiego. „Pod tym względem p. Tuchaczewski jest dziwnie podobny do niektórych moich podwładnych i rodaków, którzy wszystkie nasze porażki przypisują mnie, wszystkie zaś zwycięstwa albo sobie albo, gdy nie przypuszczają, by im kto wierzył — Francuzom”⁸⁾.

Ma pełne prawo Marszałek Piłsudski wyrzec: „Dumny dotąd jestem, że byłem wyobraźcą tych, co wiosnę w Polsce głosili i przejawy jej piersiami własnymi zasłaniali”⁹⁾. Może każdy Polak z otuchą patrzeć na pracę Tego, który złamał wroga w 1920 roku i który przełamał wszelkie przeszkody, u steru stojąc Rządu, by wieść Polskę ku świetności, ku Odrodzeniu.

Stanisław Kanclerz.

jej w dużym stopniu wpłynęła książka Bronowicza o „Stefana Żeromskiego tragedji pomyłek”, ona też stanowi punkt wyjścia dla rozważań Rygiela. Ciekawe jest nawiązanie do głównego tematu pracy — doznań religijnych w najmłodszej literaturze. Analizując sławiony przez komunizm ideał życia społecznego — postulat bezwzględnej klasowości i wynikających z niej konsekwencji, Rygiel odnajduje wśród nich logicznie z przesłanek komunizmu płynący — ateizm. Opiera się tu na, zupełnie zresztą jasnych i niedwuznacznych, słowach Barbusse'a o koncepcji Boga i jej szkodliwym wpływie dla „ewolucji ludzkości”. Z drugiej strony ateizm ten jest naturalnym wynikiem sprzeczności, jaka zachodzi między chrześcijańskim ideałem wszechludzkiej miłości bliźniego a historycznym materializmem wyznawców „fetysza klasowości”. Ateistyczny ideał komunistyczny pojęty materialnie, bez obłosn „romantycznego zakłamania” streszcza się do tego, by „zreć razowy chleb i żywą żonkę czuć”, jak to ujął Majakowski. Czy ideał ten przetransportowany na grunt polski mógł się tam przyjąć i rozwinąć? Rygiel stara się przeprowadzić odpowiedź negatywną oraz wykazać „zmierzch bałwochwaleczki wiary w dzień dzisiejszy” i tęsknotę do wartości bezwzględnych. I dostrzega szereg mniej lub więcej wyraźnie ujawnionych „doznań religijnych w najnowszej literaturze polskiej”, podświadomie ale nieustannie nurtujące w niej dążenie do ideału religijnego.

Po okresie przewartościowywania myśli religijnej pokolenia poprzedzającego, „wpijania się zębami w dni” i skamandryckiego upajania się, zresztą, dodajmy, pustego, chwilą „rozdrapywania do krwi” życia, po tym okresie, „dzień dzisiejszy powoli traci jakoś swój urok i przestaje wystarczać”. Następuje zwrot ku rzeczywistości „różnej, wyższej od tej, wśród której człowiek stale przebywa”, a której odczucie jest — właśnie treścią wszelkich doznań religijnych. Świadczą o tym zwrocie etapy twórczości Skamandrytów — Słonimskiego, Lechonia, Tuwima, Wierzyńskiego, Brauna; poszukiwanie religijne kryje się i u Goetla, i u Kadena i u Nałkowskiej, w ostatnim okresie jej pracy pisarskiej. Żałować nieźniewnie należy, że autor pominął tu całkowicie najmłodszych i ich ustosunkowanie się do zagadnienia prawdy religijnej. A znalazłby dużo materiału, dużo poważnych argumentów dla swych tez. Boć przecie: „Chcemy wiedzieć Dlaczego. Kołtani, rzucani od brzegu do brzegu wartkim nurtem wiecznie przemiany i względności zjawisk — szukamy stałego oparcia, absolutnej pewności rzeczy, tchu boskiego... Tęsknimy za prawdą istnienia, którąby stać się nam mogła żywą religią! Tęsknimy za religią, którąby nam była — prawdą niespożyta!”, mówi wyznawca wiary najmłodszych (Kwadręga Nr. 2). Pomija także Rygiel tych poetów, w których twórczości życie religijne dochodzi do pełnego swego uświadomienia (Zegadłowicz, Liebert), poprzestając na autorach, których najmniej o doznania religijne możnaby posądzić. Analiza jednak twórczości omawianych twórców wyłowienie wszystkich momentów szukania i pogoni ideału religijnego jest najlepszą częścią pracy Rygiela, ujętą w formę niedających się zaprzeczyć argumentów.

Współczesna poezja polska nie jest jeszcze w stadium wypracowania ideału religijnego — jest dopiero w jego poszukiwaniu, w uświadomieniu sobie konieczności „wartości bezwzględnych”, hasel „nad śnieg bielszych”. Na pytanie dlaczego hasel tych jeszcze nie znalazła, odpowiada Rygiel, iż dzieje się to wskutek trudności zastosowania do dzisiejszej rzeczywistości ideału zawierającego „mickiewiczowskie marzenia o uszczęśliwieniu narodu”, od którego literatura najmłodsza nie odeszła i którego nie zdradziła dla doktryny identyfikującej „interes klasowy z interesem narodu”. „W chwili dziejowego przełomu szuka ona z uporem — nawet z gniewem rozpaczy czasem, ale nie zgadza się na to, aby treścią jedyną życia miało być: zreć razowy chleb i żywą żonkę czuć”. Ostateczną kwintesencją książki Rygiela jest przeświadczenie, iż poezja nasza nie poszła do piekielnej, bolszewickiej Canossy i że „dla niej, jak dawniej tak i dziś najwyższą prawdą była i jest — miłość”, owa prawda wyrastająca z podłoża doznania religijnego.

O ile praca Rygiela jako całość przedstawia się ciekawie zarówno ze względu na temat i jego ujęcie jak i szereg myśli na marginesie najmłodszej literatury, to słabą jej stroną jest zbyt duża jednostronność. Rygiel przeciwstawiając ideał religijny hasłom kierunku przedewszystkiem społecznego, pomija całkowicie zagadnienie społeczne, nie uwzględnia jego kolosalnej roli, zamało wydobywa momentów przeżycia religijnego tkwiących w stosunku najmłodszej literatury do zagadnienia społecznego. Tam jednak gdzie to wyjątkowo czyni, trzeba przyznać, potrafi postawić zagadnienie na odpowiedniej platformie — że wspomnę tu krótką ale przenikliwą analizę kadenowego opisu pracy druciarza Chudziaka. Z całej pracy Rygiela bije niewątpliwie zrozumienie ważności i, można powiedzieć, wyjątkowości poruszanego zagadnienia, z drugiej strony w umiejętnym podejściu do kwestji doznania religijnego ujawnia się obcowanie autora z myślą religijną, jego upodobanie do wiązań się z nią problemów.

Y-ski.

1) Józef Piłsudski: Rok 1920. Z powodu książki M. Tuchaczewskiego „Pochód za Wisłę”. Wydanie drugie z przedmową Autora i przypisaniami. Warszawa, 1927. Nakładem Instytutu Badań Najnowszej Historji Polski. Skład: Główna Księgarnia Wojskowa. Stron 379 plus VII, z licznymi szkicami i tablicami, oraz z 8 barwnymi mapkami.

2) Strona 202.

4) Strona 197.

5) Strona 192.

6) Strona 226.

7) Strona 227.

8) Strona 209.

9) Strona 203.

TADEUSZ ZAJĄCZKOWSKI.

Wieczory wspomnień.

Zmierzchy w ulice leją lilijowe opary,
w czarne ramy, jak okrzyk, ścące nieba
czerwień,
dzwonią sennie na wieżach łagodne zegary —
po długiej, po zimowej znów je słucham
przerwie.

Cisza kąpie ogromną kroplą mętno - łzawą,
chwilami, zda się, ziemi bieg codzienny ustał.
U wszystkich kobiet dzisiaj tak podobne
usta,
a w oczach każda nosi tę samą ciekawość.

I za każdą, za każdą wroń się chylił
wlecze
po jałmużnę wspomnienia, po złudzenia
laskę,
żeby ujrzyć znów, czasu zasypane piaskiem,
usta, oczy i wieczór, taki jak ten wieczór.

O, kiedyż wreszcie księżyc zielony zamieni
na długie cienie wszystko, co było pamięcią,
żeby zalane światła zimną ciężką ręką
tylko senność została w mózgu i zmęczenie.

STANISŁAW CIESIELCZUK.

* * *

Wiem, że nie jest tak ciepło, tak pięknie
W groźnym życiu, jak łamie niejeden.
Pokochołem was, rozdartych jękiem,
Przywalonych grubą kłódą biedy.

Ciągle muszę słyszeć płacze wasze,
Ciągle ból wasz, jak swój ból, czuć muszę —
Każde ludzkie cierpienie palaszem —
Niby w żywe mięso — trafia w duszę!

Czola wasze całuję gorąco,
Wasze serca całuję, nędzarze,
Wasze rany, jak zorze krwawiące,
Stygmatami we mnie się żarzą.

Sam zbolaty, spragniony, biedny,
Głodny, nędzny, boleścią rozcięty,
Jestem z wami, Chrystusowie powszedni,
Tłumie ludzi, na życiu rozpiętych!

ZYGMUNT ŁOTOCKI.

Kamieniarz.

W pyłe szerokiej drogi
Ukłękleś — szary człowieku
I kamień pod cudze nogi
Tłuczesz pomimo spieku.

Równym, celowym wysiłkiem
Idące znaczysz sekundy
Dopóki słońce, jak piłka
Nie spadnie za niebios burtę.

I wtedy cichy, zgarbiony
Wleciesz się spać — do swej nory.
I nie wiesz, że z tamtej strony
Ktoś liczy skarby twojej pokory.

GRZEGORZ TIMOFIEJEW.

Człowiek.

Układamy modlitwy i słowa najprostsze,
Lecz próżno Cię szukamy na dalekich dro-
gach. —

Zmęczenie nas wśród pola na ziemi rozpostrze
I to, co znajdziesz wtenczas, będzie kłosa lub
modra.

Trzeba nam oczu prostych, by inaczej pa-
trzeć.

A wtedy wszystko obce będzie rzewnie bli-
skiem

I każdy z szukających długo i rozpacznie
Odnajdzie Cię pod zwykłym, powszednim
nazwiskiem.

W. SŁOBODNIK.

Porty.

Warczącym warem pary, grubych śrub
obrotem
Drżą groźne krążowniki, krąją wodne góry.
Gryzącym gwoździem gwizdu, dumnym
dymu wzlotem,
Lotniejszym nad wichurę, rozpruwają
chmury.

Tętnią studzińcze młoty, skrzypią pilne
pily.

Pracują mistrze, mocni, biegli w swym rze-
miośle:

Kowale prychający wielkim miechem siły,
Ślusarze, rusznikarze, mechanicy, cieśle.

Rozrasta się robota, w głąb błękitu wrosta,
Wyrasta port potężny, przeży mięśnie męskie,
Rytmicznie bije bezwład, jako wodę —
wiosła,

Tryska triumfem, zgarnia garścią dni zwy-
cięskie.

Nie nużą się, nie mdleją, nie drżą rące
ręce,

Budują porty; przyszłość polnej Polski
świecą,

Ciężarne ciężkim płodem, rodzą w pięknej
męce

Świtania, co pomrokę blawem światłem
przetną.

Sterują ku eterom, stękające stery,
Rozważnie kierowane dostojnymi dłońmi,
Rozumnie mierzą morskie rozhułane sfery,
Gdzie butna burza burzę pełnym pędem
goni.

Napróżno wre, rechoce orka orkanowa,
Napróżno pługiem wiatru glebę morza

porze:

Odpiera ją potęga chłodna i miarowa,
Nad górne góry wyższa, szersza ponad
morze.

STEFAN FLUKOWSKI.

Modlący się owies.

Owies zasiała wierząca ręka
Że wszędzie gęstą runią
I zagony czarne a martwe
Pękają
Zwichrzają się i zieloną czupryną skołtunią;
Ciepły wieczór wygładzi je wyczesze
Czerwone ognie młotów z stońca jak z krze-
mienienia wykrzesze
I owies modli się, zginając z ciężkim ziarnem
szyję

— Mam czoło twarde chropawą łuską
kryte

I ziemi dosięgnąć nim nie mogę
Jestem prosty owies słomą idę w górę jak
żyto,

Rozpychając skoszlawiałe płoty
Sam z siebie wychodzę ku niebu
Rozmawiać ze stęsknionym między gwiaz-
dami Bogiem.

Jestem jedyny owies w wielorakich ziarnach
Ciągnę pokarm dla ciała z ziemi błota
I czekam aż przyjdzie męczarnia
Kos usłyszysz dźwięki
Przejdą po nas ciała olbrzymów
Skończą się chwyty słonecznej lipcowej
udręki,

A cienkonogie łonie
Karmione naszym wielorakiem ciałem
Zarzą smagnięte z bram na światła zziele-
niałe błonie

I będą rwały

Płoty!!!

UWAGA!

Następny numer

„GŁOSU LITERACKIEGO”

przyniesie wywiad z L. Staffem.

REDAKCJA.

W. WERNIC.

Duch Niebieskiego Pokoju.

Zamiast wstępu.

Okno ujęte w prostokąty białych, sztyw-
nych ram, wieczne i niezmiennie. Takim
było wtedy, gdy tu wchodził, takim po-
zostanie, gdy stąd wyjdę; wyjdę raz na
zawsze. Okno zapatrzone z tępych uporem
w szeroką ulicę miasta.

Niebieska tapeta, dziwnymi kwadratami
znaczone, pnie się z czterech ścian ku bia-
łemu prostokątowi sufitu. Byszcząca kula
zegarka - budzika, monotonicznie szepczącego
swoją starą piosenkę, tkwi na wierzchu ciem-
nej szafy. Milczące szeregi książek cisną
się na politurowanych półkach. Wszystko
tu ma swoją historję. Kałamarz, stół, szu-
flada; tajemnicza dziura w podłodze, któ-
ra kiedyś pochłonięła smukłą, trzcinową wę-
dkę na ryby.

Tylko lakierowane drzwi mogą coś po-
wiedzieć o zaledwie już widocznych szra-
mach. Tylko szafa, tajemnym szeptem,
zawierzy wam historję małego, okrągłego
otworka, tuż nad jej gzymsem. Powie wam,
że ten otworek jest pozostałością, śladem
gładkiej, stalowej łuski i dużego, sześci-
ostrzałowego bębnowca. I wiem dobrze,
kiedy w budziku poczną głośniejsze stuk-
ania się odzywać, a jakieś szmery przebiegać
po krzesłach, stole, szafie; to nie jest tylko
tykot zegarka i tylko pękanie rozsychnię-
tego się drzewa. Zaczyna się rozmowa moich
współmieszkańców.

Duch niebieskiego pokoju poczyna gwa-
rzyć. Wtedy ostrożnie, na palcach wycho-
dzą. Nie chcę przerywać rozmowy, nie chcę
jej słuchać. Bo, kto wie, możebym zaczął
żałować?

Czasem tylko, kiedy uprzytamniam so-
bie konieczność chwili, w której trzeba bę-
dzie wyjść, poto, żeby powieść nigdy, na-
 pewno nigdy, nie wejść, zostając na rozmowie
Ducha. I nie wiem, czego sobie życzyć na

tę chwilę odejścia. Czy gorącego słońca na
ulicach i niebieskiego nieba, czy ciemnych
chmur i śnieżnej zawieruchy? Czy spokoju
dnia powszedniego? A może ruchu, gwa-
ru, łomotania tysięcy stóp na rozpalonym
asfalcie chodników miasta i serc ludzkich,
czerwonych i gorących, jak słońce. Sądzę,
że właśnie tego.

Każdy z nas ma swego Ducha niebie-
skiego pokoju. Każdy z nas kiedyś wy-
jdzie, żeby nie wejść więcej i dlatego może
dobrze będzie rzucić wzrokiem w tył, tylko
raz i tylko na chwilę. Potem pójdziemy
naprzód.

Wielka parada.

Dnie mijają. Toczą się sekundy, minu-
ty, godziny. Cóż może powstrzymać czas?
Czas, wszechwładny motor wszelkich prze-
mian i ciągłego postępu. Zdawałoby się,
że niema takiej siły. A jednak? Myślą
wstrzymujemy chwilę, myślą wracamy
w przeszłość.

Kołowrót wypadków obraca się z po-
wrotem. Znajdujemy się w przeszłości. Lat
temu pięć, dziesięć, piętnaście. A więc...

Jest tak, jak było. Zniknęły książki.
Na półkach, na tych samych gładkich pół-
kach leżą, długimi rzędami wyciągnięte,
szare i czerwone pudełka. Jest ich dużo,
bardzo dużo. Jedne większe, drugie mniej-
sze. Koszary wielkiej armii ołowianych
żołnierzy. Nie, dla mnie to nie ołowiani,
to żywi ludzie. Niema tekturowych czwo-
rokątów. Białe mury koszarowych budyn-
ków stoją na wielkich placach. Pierwsza
dywizja legionów, druga... dywizja kawa-
lerji, wielkie tajnie, arsenały, chluba armji:
kolumna samochodów pancernych.

Bazy operacyjne mojej wojennej floty.
Ja... nie - ja. Chodzę w szarym mundurze,
z wielką, błyszczącą szablą u pasa. Zaje-
żdżają ciężarowe auta. Jedyne dwa cięża-
rowe samochody. Za chwilę się rozpocznie
przebieg wojny, wielka parada. Oficerowie
stają grupkami, oparci na ołowianych pa-
łaszach. — Generale, proszę odkomendero-

wać dwu adjutantów dla mnie. — Schodzę
na niższą półkę. Korpus „hallerczyków”.
Niebieskie rogatywki wyglądają z okien
czerwonych domków - pudełek. — Genera-
le, dwu adjutantów dla mnie. — Rozkaz!

Jeszcze niżej. Dywizje „poznaniaków”.
W szarych hełmach; przyjechali prosto
z Norymbergi, z wielkiej fabryki zabawek.
Jeszcze niżej — marynarka wojenna. Gła-
dzą smukłe kadłuby ołowianych torped.
Dalej już sama zbieranina. „Czwartacy”
z 31 roku, kosynierzy, powstańcy z 64 ro-
ku, niewiadomo dlaczego w czerwonych ro-
gatywkach.

Uwaga. Za chwilę rozpocznie się wiel-
ka parada. Orkiestry grają marsza. Na-
przód! Bataljony piechoty, szwadrony ja-
zdy, wielkie działa toczą się cicho po dre-
wnianych taflach podłogi. Uwaga. Jakaś
przeszkoda piętrzy się na drodze pochodu.
Wysoki mur. Pudełko zapalek. — Sape-
rzy, usunąć zawadę! — Wsiadam na
konia. Galopuję na czoło armji. Biegną
adjutanci. Stukocą topory. — Ostrożnie
z ogniem!

Naraz, jakiś chrobot; trzask, dolatuje
z końca pochodu. Zawracam. Wielka, obu-
ta stopa miażdży moich żołnierzy. Pułk
strzelców konnych rozbit, rozproszony, po-
łamany. W jednej chwili z wielkiego wo-
dza armji robi się mały, płaczący chłopiec.
Zbiera ostrożnie połamane szczątki. Że też
brat nigdy nie widzi, co na podłodze stoi;
ślepy, czy co? Taki duży i taki nieostrożny.
Parada przerwana. Chłopiec płacze. Na-
gle stanowcza decyzja. Paradę trzeba
skończyć. Wytrwać. Wódz znowu stoi na
czele armji. Maszerują bataljony. Orkie-
stry grają...

Przemknęły sekundy, godziny, dnie.
Moja „armja” należy do przeszłości. Ale
pamiętam o niej ciągle. Pamiętam o klęsce
pułku konnych strzelców. Kiedy czasem ja-
kaś brutalna stopa chce zdeptać moje plany
i czyny, przypominam sobie marsz moich
wojsk. Żelazna stopa nie przerwie mojej
Wielkiej Parady życia.

Mój przyjaciel.

Jedyna „maszyna” w moim pokoju.
Najcudowniejszy mechanizm świata. Zega-
rek. Okrągły, świecący „budzik” z wypu-
ską czapeczką dzwonka na wierzchu. Naj-
lepszy przyjaciel, powiernik wszystkich smut-
ków i radości dni ubiegłych i tych, które
nadejdą. Nie zawiódł mnie jeszcze nigdy
i nie zdradził. Raz tylko zachorował. Po-
prostu nie chciał „chodzić”. Wezwać do-
ktora? Nie, ja sam będę doktorem. Od-
kręciłem śrubki, odjąłem wieko. Począłem
stukac w zawikłany spłot kół, kółek, kół-
czek. W sztywne i twarde „zęby” mecha-
nizmu, w lśniące sprężyny. Nic nie poma-
gało. Wtedy urządziłem wielki warsztat re-
peracyjny. Z jakichś zapomnianych pak
i pudełek „powylazły” wielkie obcęgi, za-
rdzewiałe dłuta, stalowe młoty. Z wielkim
strachem i w wielkiej tajemnicy przystąpiłem
do odkręcania kółek, śrub i gwoździ. Zba-
dałem nieznane „światy”, kryjące się
w nikłowanym wnętrzu zegara.

Chuchałem, dmuchałem. Majstrowałem
od świtu do wieczora. Wszystko inne leżało
poza zakresem świadomości. Istniały tylko
kółka i sprężyny. Wreszcie z mozołem
i trudem zegar z powrotem został złożony.
Kiedy umocowywałem ostatnią śrubkę, ser-
ce mi biło bardzo mocno i bardzo niespo-
kojnie. Zacząłem nakręcać. Małutka wska-
zówka sekundnika drgnęła. Wstrzymałem
oddech. Czarna strzałka poczęła biedz
okrągłym szlakiem znaczonych kresek. Młot-
ki, obcęgi, świdry poszły drzeć w za-
kurzonej skrzyni. Jeszcze coś zostało. Ma-
łe, zębate kółko. A jednak zegarek „cho-
dzi”. Bez kółka, ale chodzi. I nie miał
racji zegarmistrz, nie miał racji. Budzik nie
dlatego się zepsuł, że czegoś tam było brak,
to była inna sprawa. Sprawa zepsutej sprę-
żyny, ale to już należy do czasów później-
szych. Tak to dokonałem niezwykłego wy-
nalazku. Zmniejszyłem mechanizm zegaro-
wy o jeden zbędny przedmiot.

* * *

JERZY TOEPLITZ.

Twarz mężczyzny.

Marja Kuncewiczowa. Twarz mężczyzny. Powieść. Nakład J. Mortkowicza, Tow. Wydawnicze w Warszawie, 1928, str. 159 i 4nl.

„Przymierze z dzieckiem” było wstępnym bojem, zdobywającym Kuncewiczowej prawo głosu w naszej literaturze. „Twarz mężczyzny”, to już nietylko prawo głosu, ale prawo do jednego z czołowych miejsc prozy polskiej.

Styl i treść tej znakomitej powieści — to dwa czynniki, nie dające się pomyśleć osobno, zupełnie niemożliwe do oddzielenia przedyskutowania. Na szarmonizowaniu tych dwu czynników, stwarzających z książki prawdziwy majstersztyk literacki, polega magiczny wpływ, jaki wywiera „Twarz mężczyzny” na czytelnika.

Odwieczny problemat ustosunkowania wzajemnego płci jest jednym z najtrudniejszych do powieściowego ujęcia. Przesadne pogłębienie tego tematu doprowadza do tworzenia nudnych kolubryn, gdzie rozważania autora zajmują $\frac{3}{4}$ miejsca, zabijają rytm akcji. Jeżeli zaś autor nie chce się spowiadać za dużo i za mądrze wyjaśniać — wówczas zamiast ciekawej powieści powstaje banalny romans.

Kuncewiczowa utrudniła sobie zadanie przez specjalne skomplikowanie wyżej wymienionego problemu. Ideą przewodnią autorki jest przedstawienie, jak i kiedy zśród wielu twarzy mężczyzn, odbitych jak w zwierciadle w duszy kobiecej, wyłania się twarz człowieka. Proces ten możnaby ująć najlepiej w następującym porównaniu: jeżeli psyche kobiety jest kamerą fotograficzną, a poszczególne twarze mężczyzn kliszami, — to pierwszą kliszą utrwaloną będzie dopiero twarz człowieka - mężczyzny, ojca przyszłych dzieci. Moment ukazania się twarzy człowieka przyjdzie wtedy, kiedy kobieta po całym szeregu transformacji zrozumie swą rolę społeczną, uczując się kobietą - matką. Proces, jak widzimy, bardzo trudny do odtworzenia na kartach powieści. Z jednej strony musi być przedstawione pasmo przesuwających się twarzy męskich, ponieważ jednak wszystkie one są umieszczone na filmie widzianym przez oczy jednej tylko kobiety, która się równocześnie zmienia — a zatem z drugiej strony pasmo jej osobistych transformacji. Cała maestra pisanego polegać będzie na umiejętnym sprzęgnięciu tych pasm tak, aby łańcuch zmian kształtował się logicznie i żeby myśl główna rysowała się jasno i przejrzyście. Kuncewiczowa dokonała swego zadania znakomicie, poszczególne fazy naszkicowane subtelnie i lekko, łączą się w jedną zajmującą i nie nużącą opowieść. Jak łatwo było z tego tematu zrobić stek bezsensownych romanów, albo napuszone nudne studia „duszy kobiecej” — i jak genialnie wymknęła się z tego błędnego koła Kuncewiczowa, dając akurat tyle, ile trzeba dać było — o tem świadczy sama powieść. Że tak się stało — jest to rezultatem ujęcia całej kwestji przez Kuncewiczową w jedyny, racjonalny sposób.

Stosunek obu płci i ich wzajemne oddziaływanie jest najbardziej niewytłumaczalną częścią naszego życia, będąc zarazem częścią może najbardziej zasadniczą. Jak ująć świadomie i zrozumiale te podświadome impulsy, każące nam czynić to i to, kiedy logicznie należałoby uczynić coś przeciwnego? Z góry należy odrzucić drogę analizy, bo ta jedynie bardzo kunsztownie przeprowadzona i bardzo delikatnie wtrącona między akcje może wyjaśnić pewne subtelności, ale zastosowana na całej linii nie spełnia zadania. Zacieśnianie wszystkiego do realistycznych opisów jest także niewystarczające. A zatem pozostaje jedynie droga trzecia, a mianowicie: rzucenie całego szeregu obrazów — projekcji tak, jak one

się formują w naszej myśli; widzenie tego, co się odbywa w chwili obecnej, poprzez cały szereg asocjacji dalszych i bliższych. Kuncewiczowa obrała właśnie tę drogę, obserwując wszystkie konflikty poprzez pryzmat przeżyć swej bohaterki - Anny i to właśnie w formie takich zdjęć migawkowych. Czytając „Twarz mężczyzny” nie mamy już tego dręczącego pytania, które denerwuje nas tak często przy lekturze innych książek: „Dlaczego tak się stało?” Mamy stałe świadomość, że musiało się tak stać, że przecież to jest jasne i oczywiste, właśnie dla tego, że jest tak nieświadome.

Droga opisywania pewnych stanów duszy po przez rzucanie projekcji i obrazów, tylko wtedy osiągnie sukces zupełny, jeżeli te obrazy i projekcje będą stać na odpowiedniej wyżynie artystycznej. I tu właśnie wypływa wspomniana przezemnie na samym wstępie nierozdzielność stylu i treści. Gdyby nie cudowny, barwny i tak rozpustnie bogaty styl Kuncewiczowej — cała koncepcja poniosłaby klęskę. Ale Kuncewiczowa potrafi w małych, krótkich zdaniach zamknąć bardzo wiele; każde słowo coś mówi. każde słowo ma swoją duszę, swój głęboki sens. Otwórzmy książkę na jakiegokolwiek stronie, a zaraz rzuci się w oczy całe mnóstwo zdań, które chciałoby się przytoczyć, jako te najlepsze, najbardziej nadające się na przykłady. Mistrzynią jest Kuncewiczowa, jeżeli chodzi o ujęcie nastrojów pory roku, pory dnia, wsi, miasta, ale naprawdę dopiero okazuje się jej ogromny talent, kiedy chodzi o opisy nastrojów bohaterki - Anny. Może dlatego właśnie najlepiej i najbardziej interesująco potraktowana jest część pierwsza „Wśród braciszków” — pierwsze spotkanie się obu płci, pierwsze starcie między 12-letnią kobietą a mężczyzną, małym Stasiem. Cały ten stosunek i uświadomienie sobie przez Anię, że Staś to nie braciszek, ale mężczyzna, dokonujące się poprzez skojarzenie Stasia

z porucznikiem (wspomnienie zamierzonego dzieciństwa) jest znakomitą, może zresztą nieco Freudowskim, ujęciem sprawy. Gniew, strach i groza — o to w czym się wyraża dla dwunastoletniej dziewczynki męski - samczy pierwiastek.

Część II „Koledzy” — to dalszy rozwój psyche Anny. Życie w Krakowie, praca społeczna i Anatol; życie w Warszawie, sporty, dancingi i Hubert. Dwa całkowicie różne sposoby oddziaływania mężczyzn — jeden przyjacielski Anatola, drugi zmysłowy — Huberta. Hubert i Anatol — to koledzy Anny, nie pozatem, jeden i drugi bardzo mili, aż do tego momentu, gdy z ust ich padnie słowo „kocham”. — Wtedy: „Rozpętało się wszystko; chichocząc i kusząc napędlono pokój udręką”. Druga część — to drugi etap rozwoju Anny — przyjaźń z mężczyzną i dojście do problemu miłości. Wreszcie część III „Rzeczy ważne” — Zakopane i Jerzy. Zdawać by się mogło, gdyby ktoś formalnie chciał wszystko traktować, że cała historia z Jerzym jest nie logiczna i źle konstrukcyjnie przeprowadzona. Jerzy to już nie Anatol i nie Hubert. Słowo „kocham” staje się na krótki czas treścią życia. Ale przychodzi chwila rozłąki — Jerzy jedzie na front. Pozostaje ból i tęsknota. Tu koniec; akcja się urywa. Autorka przekształca 5 lat, nie wspominając o Jerzym nic więcej na dalszych kartach powieści. Gdzie podziła się miłość? — co się stało z pięknym porucznikiem? — niewiadomo.

Wbrew pozorom to dobrze, że niewiadomo; dobrze, że tak się kończy a nie inaczej. Anna poznała już miłość, ale to nie koniec inaczej jej drogi. Epizod z Jerzym, to przedostatni etap jej przemian. Moment ujrzenia twarzy człowieka - mężczyzny, przychodzi dopiero wtedy, kiedy Ania: „Wypreżona jak łuk, godziła się w niebo i szeptem zażartym od kłów: „Dzieciatko, dzieciatko chcę mieć”.

I wtedy przychodzi ten ostatni (Każmierz), który już nie słowo „kocham” szepcze, ale te słowa „prawdę jedną, którą by na swoim niebie, dla ziemi pozostała nam bliska”.

— Dobrze nam w Domu, Anno. Więc razem tu chyba musimy pracować...

„Skoro zadzwigły te słowa — proste, jak miecze i dobrotliwe, jak lemieże — oddarł się dzień od nocy, twarz człowieka wyrzuciła z gestwiny kochanków i Anna poznała ojca swoich dzieci”.

Temi słowy kończy się „Twarz mężczyzny”. Widzimy, jak jasno, jak przejrzyście rysuje Kuncewiczowa drogę do poznania twarzy człowieka wśród licznych twarzy mężczyzn. Nawet pozorny brak konstrukcyjny w historii z Jerzym teraz nie razi, rozumiemy bowiem, że ostatnim szczeblem transformacji będzie uczucie nie miłości, ale macierzyństwa. Tyle o samym wątku. A przecież to nie wszystko. Oprócz przeżyć bohaterki i głównych postaci męskich, daje Kuncewiczowa nieskończoną ilość typów — odmalowuje doskonale tak różne środowiska. Wspomnę tu tylko dla przykładu o „Płomieniach” znakomicie uchwyconej, w swych charakterystycznych cechach, organizacji młodzieży. Dochodzą do tego prześliczne opisy przyrody i t. d. Całość jest naprawdę niepowściągliwą książką, którą się z żalem żegna po przeczytaniu. Teraz tylko jeszcze jedna końcowa uwaga natury formalnej. Jest jedna rzecz w „Twarzy mężczyzny”, którą z powodzeniem można byłoby usunąć — to daty lat figurujące na wstępie rozdziałów. Oprócz jednego roku 1920, który jest całkowicie wytłumaczony treścią, wszystkie inne są zupełnie zbędne, a często nawet błędne. Sylwetka pensji „rozsportowanej” i bardzo „moderne” jest zupełnie nie do pomyślenia w r. 1912/3. (Nie zwracam już uwagi na takie drobne anachronizmy, jak foxtrott, A. Z. S. na rok przed wielką wojną).

WYSTĘP-ek LIRY p. BOLIRY.

W nr. 17 warszawskiego dziennika „Przegląd Wieczorny” z dnia 21 stycznia b. r. został wydrukowany „utwór” niejakiego p. Bolesława Boliry, p. t.: „Joanna”.

Stwierdzam niniejszem, że jest to plagiat mojej opowieści o św. Joannie zamieszczonej w zeszycie styczniowym miesięcznika „Skamander” z roku 1926, p. t. „Relacja o Joannie czyli Potęga Snu”, a obecnie wydanej w książeczce p. t. „Potęga Snu”, łącznie z innymi moimi opowieściami, przez T-wo Wydawnicze w Warszawie. Pomijając fakt, że plagiator, ów p. Bolira, pozwolił sobie przywłaszczyć najbezcenniejszy zarówno kompozycję jak i konstrukcję cudzego utworu, do najdrobniejszych nieomal szczegółów, oczywiście, odpowiednio je modyfikując, pomijając to — sprawca jawnej kradzieży literackiej nie cofa się nawet przed używaniem dosłownych moich zwrotów stylistycznych, porównań, określeń i t. d., wreszcie całych obrazów z mojej opowieści. Pozycja za pozycją, zdanie po zdaniu, nieomal słowo w słowo, wszystko skradzione, a dla niepoznaki; poprzekrecane, poprzerzucane słowa, określenia, obrazy i myśli.

W imię obrony praw autorskich piętnując to ordynarne, czy bebrzeźnie naiwne złodziejstwo literackie, którego należyta ocenę pozostawiam opinii publicznej, podaję je niniejszem do publicznej wiadomości.

Wyrażam jednocześnie ubolewanie Redakcji „Przeglądu Wieczornego”, która najoczywiej została w błąd wprowadzona.

Warszawa, 23 - I - 1928 r.

Juljan Wołoszynowski.

Z ekranu.

POETA - ŻEBRAK.

Niewielu wybitnych tragiców posiada X Muzę. Poza nieśmiertelnym Jannings'em zabłysły dwa talenty nieposledniej miary na obu kontynentach t. j. Conrad Veidt w Europie i John Barrymore w Ameryce. Pierwszy więcej nam znany, tragic niesamowity, może trochę przejawskawiony i nie-

naturalny, przejmujący się swoimi rolami do ostatniej fibry swojej artystycznej duszy, odtwarzający grane przez siebie postacie z drobiazgową dokładnością mimiczną, drugi natomiast tragic więcej życiowy, naturalny, z gestami może trochę teatralnymi, wyniosły, porywający klasyczną budową ciała i siłą wyrazu w swojej grze.

Wszelkłą siłą swego materializmu kinematografja amerykańska, w pogoni za coraz to nową sensacją ściągnęła Veidta do siebie (jak tytuł dobrych artystów i reżyserów) i dała pierwszy obraz z oboma potęgami ekranu p. t. „Poeta - Żebak”. I tu spotyka nas lekki zawód. Pomimo dobrze wybranego tematu (koniec średniowiecza. Ludwika XI, pierwszy poeta francuski Francois Villon, ballada o wisielcu etc.) i tak świetnych artystów, obraz nie robi takiego wrażenia, jakiego się po nim można było spodziewać. Gra indywidualna każdego z artystów tak Veidta jak i Barrymore'a stoi na wyżynach sztuki, jeden stara się prześcignąć drugiego, lecz reżyserja i układ całości szwankuje. Nawet wspaniałe stylowe dekoracje wychodzą blado i film jako całość należy zaliczyć, jeżeli może nie do przeciętnych, to jednak do słabszych. Do tego jeszcze dodać należy, że zdjęcie większości scen są dosyć ciemne, mgliste i niewyraźne, co też obniża wartość obrazu.

Gasiński.

Teatr.

„Teatr Polski” posiada w społeczności teatralnej ustaloną opinię jako godny przytułek „wielkiego repertuaru”, na naszych scenach spychanego powoli na ostatnie miejsce wskutek upodobań powojennej publiczności. Również i tym razem nie doznali zawodu licznie zgromadzeni na wznowieniu „Juljusza Cezara” zwolennicy tego sympatycznego teatru. Tragedja Szekspira została wystawiona z taką pieczołowitością i nakładem pracy, jakiej po „Teatrze Polskim” mieliśmy prawo oczekiwać.

Wykonawcy ról głównych nie rozczarowali: tacy wykonawcy wątpię, czy mogli rozczarować. P. Adwentowicz jako Brutus dał kreację szlachetną w rysunku i jednolitą, może jednak nieco za „miękką”. Nie chciało się czasem wierzyć, że taki człowiek, jak Brutus - Adwentowicz, zdolny być może do takich czynów, jak utopienie sztyletu

w piersi przyjaciela. Że jednak mówił ślicznie, że miał taki idealny umiar w patosie, że dźwigał na swoich barkach cały psychologiczny ciężar węzła tragicznego — wierzyliśmy mu na słowo. Czego p. Adwentowicz miał może za mało, tego Kassjusz - Samborski wykazał za dużo. To był dopiero silny człowiek! Ten był naprawdę zdolny do wszystkiego! To też jednolitość postaci Kassjusza w interpretacji p. Samborskiego załamywała się niekiedy w sytuacjach, na które nie była obliczona (scena w obozie pod Sardes, pożegnanie z Brutusem). P. Leszczyński jako Marek Antoniusz miał rolę najwdzięczniejszą, jeżeli chodzi o osiągnięcie efektu zewnętrznego i wydobyl z niej wszystko, co mógł wydobyć artysta o takim talencie i ambicji. Prawdziwym tryumfem w tym kwartecie aktorskim okazał się jednak p. Junosza Stepiński jako Julusz Cezar. Każdy ruch, każde słowo wystudjowane było z finezją i nastawione na cel niebylejaki; zrobić z Cezara postać jednolitą w ujęciu i ciążącą swym ogromem na całej sztuce mimo względnego ubóstwa sytuacji, w jakich z woli autora działał mu wypadło. Takiego Cezara musiał mieć Szekspir przed oczyma swej duszy, gdy opatrywał tytułem swoje arcydzieło.

Słowo do reżysera i dekoratora. Czy skansja tłum na forum wzmagła wrażenie czy je osłabia? Przypuszczam, że ci chórakni wocyferanci kłusują potrosze na terenie zastrzeżonym według intencji autora Markowi Antoniuszowi. Czy modernizacja niektórych scen pod względem dekoracyjnym (dom Brutusa, ulica, forum) dostraja się w zupełności do realistycznego tła tragedji?

Tyle drobnych usterek znalazłem w pięknej naprawdę całości.

P. Szyfmanowi należy się wdzięczność za wzniosły wieczór i życzenie pełnego sukcesu dla jego wysiłków.

Czytelnikom? Zachęta; przyjdzie i zobaczcie!

D. W.

Korespondencja.

(Odpowiedzi Redakcji).

S. Słowroński. Warszawa. — Trzeba pisać. Warto. Niech pan dużo czyta i zapoznaje się ze współczesną techniką wiersza. Prosimy o przysłanie rękopisów. — A może nas pan odwiedzi?